

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Stanisław Szczepanowski</i> : Nowe kierunki w prasie „postępowej“ . . .	257
<i>Dr. Witold Lewicki</i> : Stambuł . . .	262
<i>Dr. Anna Wyczolkowska</i> : O psychologii indywidualno-eksperymentalnej . . .	267
<i>Fraszki Rodocia</i> . . .	275
<i>Roman Lewandowski</i> : Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych . . .	277
<i>M. Wierzbński</i> : Z salonu londyńskiego	280
<i>Dr. Zofja D.</i> : Listy z Niemiec. II.	284

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.

WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wilh. Frick, I. Graben Nr. 27
 we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
 w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.

TREŚĆ Nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 8:

Od redakeyi.

Dr. T. Rutowski: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe.

Ks. Dr. A. Kopyciński: Rola księdza polskiego.

Prof. A. Wachnianin: Stronnictwa na Rusi halickiej.

Prof. Dr. A. Sokółowski: Uwagi krytyczne nad historią powstania styczniowego. I.

Dr. Witold Lewicki: Ad limina Apostolorum.

Stanisław Szczepanowski: Racyonalizm narodowy.

Dr. T. Rutowski: Reforma wyborcza.

Budżet Królestwa Polskiego. I.

Dr. Kazimierz Twardowski: Fryderyk Nietzsche.

Dr. Witold Lewicki: Francesco Crispi.

Jan Skrzydlewski: O ruchu muzycznym we Wiedniu.

Przesilenie w Koalicyi.

G. Smólski: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna.

Budżet Królestwa Polskiego. II.

Roman Lewandowski: Salon wiedeński.

Po upadku koalicyi.

Ks. Dr. Adam Kopyciński: Jednostka a społeczeństwo.

Dr. Kazimierz Twardowski: Monista mistyk.

Zygmunt Bytkowski: Maurycy Maeterlinck.

Dr. Witold Lewicki: Paszkwilantom.

Dr. Tadeusz Rutowski: Fabrykacja opinii krajowej.

Antoni Fibich: Ruch chłopski na Mazurach.

Dr. Zofja D.: Listy z Niemiec. I.

St. Szczepanowski: Sytuacja polityczna w Austrii.

Dr. August Sokółowski: Leliwa.

Zygmunt Bytkowski: Intérieur.

Dzień Cylei:

T. R.: Ministerstwo Madeyskiego.

Dr. Kazimierz Twardowski: Kultura etyczna.

S. Z. Dański: Kartka z życia umysłowego Poznania.

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa
obniżamy prenumeratę do

połowy

to jest kwartalnie 1 złr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.

**Numer niniejszy przesyłamy na okaz z prośbą
o przysłanie prenumeraty, lub zwrot numeru. Nie zwró-
cenie numeru uważać będziemy za przystąpienie do
prenumeraty.**

Dodatek do Nr. 9 „Przełomu“

(w sprawie osobistej.)

Odpis telegramów wysłanych dnia 4 lipca do redakcyi Dziennika Polskiego
których redakcyja tegoż dziennika dotychczas nie ogłosiła:

Lemberg, Redakcyja „Dziennika Polskiego“.

Upraszamy o umieszczenie następujących trzech sprostowań
w najbliższym numerze.

Szczepanowski, Rutowski, Lewicki.

I.

Na podstawie § 19 wzywam Pana o umieszczenie w najbliższym numerze „Dziennika Polskiego“ następującego sprostowania w tym samym miejscu i temi samemi czcionkami.

W numerze 182 Dziennika Polskiego z dnia 3 lipca b. r. w artykule pod tytułem „w sprawie osobistej“ znajduje się szereg nieprawdziwych wiadomości:

1. Nieprawdą jest, jakoby istniała jakakolwiek robota minerska garstki posłów zidentyfikowanych z redakcyą Przełomu, natomiast prawdą jest, że każde wystąpienie tych posłów było zgodne z uchwałami Koła, że im Koło wielokrotnie poruczało zastępstwo swej polityki w Kole i w Izbie.

2. Nieprawdą jest, jakoby poseł Lewicki chciał p. Inlendera przekupić, natomiast prawdą jest, że ja należąc przedtem do poważnej grupy lwowskiej, która traktowała o zakupno Dzien-

nika Polskiego, co jednak nie przyszło do skutku, zawarłem tymczasowy układ próbny dostarczania Dziennikowi polskiemu artykułów sytuacyjnych oraz wiadomości wiedeńskich, koszta ewentualne miałem sam pokryć. W tym też celu byłem u posła Lewickiego na konferencyi z p. Inlenderem, stałym korespondentem tegoż Dziennika, w którego atrybucyie powyższe umowa wkraezala i bez którego współpracownictwa ona była nie wykonalną. Układ ten swą bierną, a w krótcie potem czynną opozycyą p. Inlender udaremnił.

Z poważaniem

Stanisław Szczepanowski.

II.

Redakcja Dziennika Polskiego.

Lemberg.

W numerze 182 Dziennika Polskiego z dnia 3 lipca b. r. w artykule pod tytułem w „sprawie osobistej“, znajduje się szereg nieprawdziwych wiadomości.

Na podstawie § 19 ustawy prasowej wzywam Pana o umieszczenie w najbliższym numerze Dziennika Polskiego w tem samym miejscu i temi samemi czcienkami:

1. Nieprawdą jest, jakoby „pierwszy spór“ pomiędzy mną a p. Inlenderem powstał o to, że tenże nie chciał na wezwanie posła Rutowskiego wystąpić z napaścią na Koło polskie i jego prezesa, natomiast prawdą jest, że spór ten powstał, kiedy potępiłem telegramy i korespondencye p. Inlendera niezgodne z prawdą. Dalej prawdą jest, że w ostatniej sesyi Rady państwa nie było między mną a większością Koła różnicy zdań, wnioski moje stawały się uchwałami Koła, zatem napaść „na Koło i jego prezesa“ byłaby zarazem napaścią na siebie samego.

2. Nieprawdą jest, jakoby fałszywe wiadomości, podawane przez pana Inlendera pochodziły w jakiegokolwiek mierze od posła Rutowskiego, natomiast prawdą jest, że p. Inlender ile razy chciał, miewał od niego informacje prawdziwe, aż do dnia, kiedy przestałem go znać.

3. Nieprawdą jest, jakoby p. Inlender otrzymał odemnie i posła Dra Lewickiego na wiosnę b. r. „sfalszowane“ przemówienie posła Dra Kozłowskiego. Natomiast prawdą jest, żeśmy obydwu streścili je na podstawie protokołu Koła, według najlepszej pamięci i woli.

4. Nieprawdą jest, że pan Inlender czynił „gorzkie wyrzuty“, jakoby miał go „ubrać“ w szereg wiadomości zmyślonych, natomiast prawdą jest, że się pan Inlender skarżył, że w wiadomościach podawanych mu przez nas niema sensacji i prawdą jest, że p. Inlender wręcz odmawiał przyjęcia wiadomości opartych na prawdzie, a mogących w kraju działać uspokajająco. Dalej prawdą jest, że nietylko ja sam, ale na osobnej konferencji w mieszkaniu posła Lewickiego, które posłowie Szezepanowski, Rutowski i Lewicki mieliśmy z nim, staraliśmy się odwieść go od podawania szkodliwych, kraj niepokojących, nieprawdziwych wieści, przyczem pan Inlender twierdził, że jego Dziennik straciłby na wziętości, gdyby inne pisma miały, a on nie miał podobnych wiadomości.

Z poważaniem

Dr. Tadeusz Rutowski.

III.

Redakcja „Dziennika Polskiego“,

Lemberg.

Proszę uprzejmie o wydrukowanie w dzisiejszym Dzienniku następującego oświadczenia. „Panu Adolfowi Inlenderowi na jego list otwarty do mnie wystosowany i ogłoszony w Dzien-

niką dałem odpowiedź na innej drodze. Dopóki ta sprawa na drodze honorowej załatwioną nie będzie, nie mogę na podstawie paragrafu 19 ustawy prasowej wdawać się z nim w dziennikarską polemikę.

Z poważaniem

Dr. Witold Lewicki.

IV.

Z listu prywatnego p. Lewickiego do Dr. Rutowskiego wyjmujemy następujący ustęp:

„Otrzymałem w tej chwili list otwarty p. Inlendera; list ten zawiera nieprawdziwe fakta, oparte na rozmowach bez świadków, z których jeden najboleśniej dla mnie rzuca podejrzenie, jakoby ja go prosił, żeby mnie wyłączył ze spółki z Panem, którego liczę do najbliższych sercu memu i jakoby miał Pana, którego przyjaźnią się szczycę i którego zdanie od wielu lat jest kierującym w moich postanowieniach, nazwać swem „nieszczęściem“.

Miałem na to jedyną odpowiedź. Musiałem zażądać satysfakcyi honorowej. Nie mogę równocześnie w drodze dziennikarskiej szukać drugiej satysfakcyi i temu zaprzeczyć. Ale proszę dziś przyjąć to zapewnienie, że słowa te nietylko są z prawdą niezgodne, ale rzecz wprost miała się przeciwnie. Pan Inlender oświadczył mi, że zamierza mię z tej spółki wyłączyć i otrzymał na to moją odpowiedź: ipsissima verba, że pomysł taki uważam wprost za szatański.

Sciskam dłoń Panu i proszę o zachowanie mi swej przyjaźni, którą nadwyrężyć usiłowano.

Witold Lewicki.

Wiedeń, 5. lipca 1895.



→: *Wiedeń, dnia 20. lipca 1895.* ←

Nowe kierunki w prasie „postępowej“.

Przed trzema tygodniami ostrzegaliśmy kraj, że nie może polegać na reporterce pewnych dzienników krajowych co do wypadków politycznych w Wiedniu, bo w reporterce pewnej kategorii rzemiosło wzięło górę nad publicystyką.

Teraz wypada nam skonstatować, że źródło złego leży o wiele głębiej, aniżeli w przypadkowym doborze reporterów. W dniu 3 lipca pojawił się w „Dzienniku Polskim“ zapowiedziany przedtem list p. Inlendera z całym szeregiem zarzutów przeciwko pp. Lewickiemu i Rutowskiemu, szeregiem tak miśternie wybranym, że tyczył się prawie samych konwersacyi prowadzonych w cztery oczy, tak że wykluczone było powołanie się na świadków lub dokumenta, a sprawa się redukowała do osobistej wiarogodności interlokutorów. Natychmiast po nadejściu Dziennika do Wiednia, t. j. 4 lipca, wysłaliśmy telegraficzne sprostowania, których Dziennik nie umieścił pod błahym pozorem, że właściciele wyjechali ze Lwowa. Zdawało się nam, że co najmniej należało się umieścić parę wierszy od p. Lewickiego, że szukając, jako oficer, załatwienia sprawy na drodze honorowej, nie może się wdawać w polemikę. Postępowanie redakcyi nie potrzebuje komentarza. Rzemiosło i tam wzięło górę nad publicystyką. Po tym pierwszym daremnym kroku udaliśmy się telegraficznie do prokuratoryi lwowskiej o zmuszenie Dziennika do umieszczenia sprostowania, lecz po kilku dniach otrzymaliśmy odpowiedź, że sprawa nie należy do pro-

kuratorji, albowiem artykuł, na który się użalamy, nie był artykułem redakcyjnym, ale listem prywatnym. Wypadło więc wdrożyć rzecz na zwyczajną drogę sądową, co się też stało, jak tylko się udało zebrać oryginały telegramów pierwotnie wysłanych i zrobić odpowiednie podanie.

Nawet kto znał prasę galicyjską mógł się nie pomalu zdziwić temi szykanami, ażeby się uchylić od prostego obowiązku, którego nawet dziennik nieprzyjacielski nie zwykł odmawiać, tem mniej dziennik rzekomo do tego samego obozu należący.

W załączeniu do niniejszego artykułu ogłaszamy sprostowanie telegraficzne, wysłane 4 lipca wraz z urywkiem listu prywatnego Dr. Lewickiego do Dr. Rutowskiego z tego samego dnia. Ogłaszamy mniej dla obrony własnej, bo trudno nam uwierzyć, ażeby ludzie na seryo mogli posiadać jakiegokolwiek wątpliwości w tej mierze, jak dla skonstatowania metody, którą się posługuje już nie ten lub ów reporter, ale sama redakcja Dziennika Polskiego.

Poruszamy też na nowo sprawę nie ze względów osobistych, bo uchybienia prasy galicyjskiej w takich sprawach należą jeszcze do jej najmniej szkodliwych objawów. Kto rzetelnie pracuje na polu politycznem, prędko przywyknie do obojętności na krytykę osobistą, a może woli raczej niezasluzoną krytykę od niezasluzonych pochwał. Doświadczenie też pokazuje, że niema lepszego sposobu na zabicie polityka, jak hymny pochwalne. Wzniesca to od razu posądzenie sztucznej reklamy, klaki teatralnej i budzi niesmak tak u publiczności jak u samego przedmiotu owacy. Pytam się, ktoby nie wolał być raczej przedmiotem krytyki, jak ciągłych toastów na jego cześć wnoszonych. Smakowałoby to zaudato napisami nagrobkowemi.

Szukanie uznania dziennikarskiego sprzeciwia się też powszechnemu doświadczeniu psychologicznemu, które całkiem inny przebieg normalny okazuje.

Młodego człowieka, wstępującego na arenę polityczną zwykle wita zrazu zachęta i spotykają pochwały, mniej dla jego zasług osobistych, jak z zawiści dla starszych, którym się chce tym sposobem wyrządzić przykrość. Ale niechno nowicysz zacznie nabierać znaczenia osobistego i ważyć na szali wypad-

ków, to sam się staje przedmiotem zawiści, które go też otaczają i prześladują przez cały ciąg czynnego i skutecznego działania. Dopiero po wyczerpaniu siły twórczej, jak już jest niezdolnym do samodzielnego działania, ruiną i nazwiskiem tylko, to staje się wielką figurą narodową, otoczoną aureolą mądrości politycznej i uznania ludowego.

Nam chodzi o skuteczne prowadzenie spraw publicznych, które nie może się obejść bez odpowiedniej publicystyki. Historia też zakulisowa ostatnich lat dziesięciu pełna jest usiłowań najrozmaitszych grup poselskich porozumiewania się z dziennikami, lub też zakładania nowych, lub też subwencyonowania starych. Historia ta by była komiczną, gdyby nie była po części tragiczną, bo wykazująca dotkliwą lukę w naszej organizacji politycznej.

Przyznajemy z góry, że zadanie jest nadwyzczaj trudne. Przedewszystkiem mamy w całym kraju niewiele więcej jak 30.000 prenumeratorów na wszystkie pisma i wszystkie odcienia polityczne razem. Brakuje więc dotąd należytej podstawy materalnej u czytającej publiczności i założenie pisma codziennego staje się często otchłanią, która może pochłouać znaczną fortunę, na co się nikt nie może narazić, kto nie jest w stanie poświęcić równocześnie temu zadaniu całego swojego czasu i całych swoich sił.

Dalej położenie narodu polskiego w Europie, a małego odłamu tego narodu w Austrii, nakłada obowiązek działania w okolicznościach tak trudnych i skomplikowanych, że publicysta polski potrzebuje bez porównania więcej wykształcenia i powinien stać na poziomie bez porównania wyższym od publicystów innych narodów. Bo też i trudniej jest Polakowi działać bez ujmy dla rozumu i dla charakteru, jak członkowi jakiegokolwiek innego narodu. Zważając dalej, że od czasu jak Polacy w Austrii już nie są w opozycyi, tylko mają sposobność do działania politycznego i społecznego, główne talenta słusznie się przerzuciły na pole działania, zrozumieć można, że arena publicystyczna została ogołocoua z talentów. Daremnie się też od szeregu lat redakeye dzienników od nas domagały: Dajcie nam korespondentów Polaków — wszystko co tylko jest

zdolniejszego poświęca się nauce lub służbie administracyjnej, lub rzuca się na przemysł. Ogólny niesmak do dzienników i lekceważenie bibuły drukowanej, które cechują u nas całą warstwę wykształconą, ogarnia nawet już młodzież. A jednak zadanie jest ważne dla następujących powodów.

Jednostki mogą się kształcić w szkole osobistego doświadczenia, ale szerokie warstwy narodu potrzebują sumiennej i światłej publicystyki. W naturze niema próżni. Gdzie niema światłej opinii przenikającej z góry, tam panuje demagogia i doktrynerya, schlebająca ciemnym, lub conajmniej naiwnym instynktom mas. Właśnie stronnictwo demokratyczne i ludowe najbardziej potrzebuje światłej publicystyki, bo historia wykazuje, że ruch ludowy niechybnie zwycięża wszelkie przywileje i kastowe ograniczenia, ale sam jakby fatalnością pędzony, ulega demagogii. Tak było w rzeczypospolitych greckich, rzymskich i włoskich, które się zawsze kończyły demagogią, tym grobem wolności, poza którym zjawia się cezaryzm, autokratyzm, zastój i martwota.

Ale nietylko dla stronnictwa ludowego, ale i dla całego narodu publicystyka światła i zgodna z dobrą tradycją narodową, jest potrzebna dla kształcenia politycznego ludzi, mających działać na polu politycznem. Złą tradycją narodową, tradycją, którą naród polski w 18. wieku dzielił z wszystkimi narodami, które przeszły przez edukacją jezuicką, jak Hiszpanie, Portugalczycy, kolonie hiszpańskie w Ameryce, a po części Włosi i Irlandczycy, była niewolniczość w myśli, a niesforność w działaniu i wynikające ztąd piekielne zawiści osobiste, które udaremniają wszelką zdrową reformę u tych narodów. Zdrowy rozwój wymaga cech wręcz przeciwnych, tj. wolności i niezawisłości w myśli, a spójni i karności w działaniu. U nas jeszcze w ruchu konfederacyi barskiej przeważa zła tradycya. Dobra zaczyna górować od Sejmu czteroletniego i 3. maja. Odtąd zaczyna się też historia odrodzenia narodowego.

Odrodzeniu moralnemu towarzyszyła coraz większa dojrzałość umysłowa, okazująca się rozgraniczeniem pomiędzy światem uczuć a światem faktów. W świecie uczuć niech panuje tendencya, ona tam jesi obowiązkiem, bo człowiek i naród

zginie opuszczony na falach życia, jeżeli niema w sobie igły magnesowej obowiązku i tradycyi narodowej, wskazującej mu niechybnie i nieomylnie jasny cel działania, który go pobudza do wyteżenia, poświęceń i bohaterstwa. Ale świat faktów należy do prawdy, prawdy częstokroć przykrej, nieprzyjemnej, sprzeciwiającej się naszym najmilszym uprzedzeniom, najdroższym przekonaniom. A jednak niema większego niebezpieczeństwa, jak fakta przedstawiać tendencyjnie, malować podług naszych chęci i życzeń, lub też obaw i nienawiści. Jest to tak, jak gdyby się kto wybierał na wojnę, mając mapy niedokładne, z umysłu zamilczające o górach i rzekach, bagnach i moczarach, przeszkadzających wykonaniu jakiegoś z góry powziętego planu wojennego. Byłoby to narażenie się na niechybną klęskę. Obawiam się, że mapa polityczna, wyrobiona przez obecną reporterkę i publicystkę galicyjską nie równa się takiej tendencyjnej mapie geograficznej.

Potrzeba więc światłej i dojrzałej publicystyki, łączącej powołanie z rzemiosłem. Powołanie bez rzemiosła jest dyletantyzmem. Rzemiosło bez powołania geszeftem. Każda wielka rzecz udaje się tylko przez połączenie tych sprzecznych właściwości. Sumienne i umiejętne wykonanie w służbie wielkiej idei, tego połączenia szukamy w publicystyce krajowej. Wielkie świątynie średniowieczne łączą najwyższą myśl z najlepszym wykonaniem. Niechaj się to samo łączy w pracy około odbudowania świątyni narodowej. A w publicystyce prawdziwie narodowej niechaj się połączy akuratność i sumiennność w przedstawieniu faktów ze zdrową tradycją odrodzenia narodowego.

Stanisław Szczepanowski.



Stambułow.

Wiosna roku 1870 zapowiadała się cudownie. Wielkie dzieło pokojowe, kanał suezki wykończono i wśród głośnych uroczystości oddano do użytku świata cywilizowanego. Wszystko zapowiadało niesłychaną ciszę, na widnokręgu politycznym nie było ani jednej chmurki, Napoleon III. głosił, że *l'empire, c'est la paix*, król Wilhelm w orędziu królewskim, odezwanem na Reichstagu Związku Północno Niemieckiego zapewnia, że nigdy jeszcze świat nie był na drodze takiego pokojowego postępu, minister Ollivier zaświadcza w Izbie francuskiej na interpelacyą Glais-Bizoin'a, że nigdy jeszcze utrzymanie pokoju nie było tak zapewnionem, jak teraz, w parlamencie angielskim lord Hammond mówi o niebywałej ciszy politycznej, a w czerwcu jeszcze hr. Bismarck zapewnia Schloezera, że lato będzie spokojne jak nigdy. A w kilka dni potem ks. Grammont na zapytanie posła Cochéry wypowiada tę niezapomnianą mowę o tronie Karola V i daje hasło do burzy — następuje wymiana depeesz w Ems i 6. lipca wypowiedzenie wojny niemiecko-francuskiej.

Dawno już pokojowa polityka w Europie nie święciła takich tryumfów, jak w roku obecnym. Mowa tronowa do austriacko-węgierskich delegacyj zapewnia o najzupełniejszym porozumieniu wszystkich państw ościennych co do wszystkich kwestyj polityki zagranicznej, Cesarz Wilhelm II. w bengalskim ogniu kilońskich festynów święci tryumfy pokoju, zmiana gabinetu angielskiego oznacza stanowczo zwrot pokojowy w sprawie armeńskiej i znowu chór oficjalnych i nieoficjalnych głosów zapewnia uzbrojone po zęby ludy europejskie, że nigdy jeszcze, albo że już dawno tak pokojowej chwili nie było.

Lecz równocześnie zaczyna się jakiś ruch podziemny na półwyspie Bałkańskim, telegramy przynoszą wiadomości o zbieraniu się jakichś band w Macedonii, metropolita Klement z deputacyą sobranja pielgrzymuje do grobu Aleksandra III i nagle jak piorun uderza wiadomość o zamordowaniu w biały dzień

w obliczu żandarmów, w stolicy państwa, byłego ministra prezydenta, byłego dyktatora i twórcę nowożytniej Bułgarii, Stefana Nikołajewa Stambulowa. Imię Stambulowa pozostanie na zawsze związane z odrodzeniem Bułgarii. A wobec tej strasznej tragedii, która się (prawie że) w oczach cywilizowanej Europy z brutalnością azyatyckiej etyki kawassów odbyła, stoją przed oczyma wypadki tego najmłodszego w Europie państwa, jak się w ostatnich rozwijały czasach. A stoją tem żywiej i narzucają się tem naglej, gdy się przypomni, że Bałkan był zawsze owym „Wetterwinkel“ Europy, gdy się uprzytomni owe głuche podziemne roboty w Bośni, ową zapalną Hercegowińską, która wzniciła pożar turecko-rosyjski.

Zawsze ta sama ręka nakręcała sprężyny i zawsze te same motywa, ta sama metoda, te same środki działania.

Kiedy kongres berliński zniweczył zamiary Rosyi do bezpośredniego opanowania Bułgarii, Rosya, ta sama „nastojaszczoko autokratyczna“ oficjalna Rosya, brzydząca się u siebie wszelką parlamentarną instytucją, niszcząca z siłą piekielną ostatnie szczątki konstytucyjnego życia w Polsce, uważająca wszelką wolnomyślną formę rządu jako zarazę zgniłego Zachodu, tasama Rosya obdarza baraniarzy bułgarskich najliberalniejszą konstytucją europejską.

„Une assemblée de notables de la Bulgarie, convoquée a Tirnovo, elaborera, avant l'élection du prince, le règlement organique de la Principauté“ postanawia artykuł IV. traktatu berlińskiego.

Książę Dondukow-Korsakow przedkłada 23. lutego 1879 konstytucją z powszechnem prawem głosowania, ze wszelką swobodą zgromadzeń, słowa, prasy, konstytucją liberalniejszą od angielskiej i drwi sobie równocześnie z tego pomysłu cynicznym dowcipem, mówiąc, że les constitutions sont comme les filles, qui ne demandent, qu'à être violées.

Była w tem tasama metoda rosyjskiego rządu, którą używał w Polsce, głosząc się obrońcą liberum veto, żrenicy wolności. I następuje dobrze nam znana komedia piekielna, którą niegdyś w Polsce, a dziś w Bułgarii odgrywa Rosya z mistrzostwem starego Igarza. Nowowybrany księciem Aleksander Battenbergski, wybór swój zawdzięczał, jak niegdyś Poniatowski, wpływowi Rosyi.

Nie mógłby o nim Aleksander III. powiedzieć, jak Katarzyna II. o Poniatowskim, że „go wyznaczono na kandydata do tronu, ponieważ ze wszystkich konkurentów posiadał najmniej praw, a zatem więcej od innych musiał się czuć zobowiązany“, bo Aleksander okazał się później bohaterem z pod

Sliwnicy. Ale otoczono go zausznikami swoimi, płatnymi ministrami, takim Burmowem, Bałabanowem, Parenkowem, Dragan-Zankowem, ludźmi Rosyi oddanymi, przekupnymi i kłamliwymi. Stronictwo radykalne pod wodzą Petka Karawelowa, ożenionego z nihilistką, objęło ster rządu. Nastąpił terroryzm radykałów, którzy byli w większości. Co było w kraju uczciwszego, poważnego obywatelstwa, usunęło się od życia politycznego. W obec brutalnego terroryzmu kanalii, która na zdanie odmienne odpowiadała kalumnią, lub zniewagą czynną nie było miejsca dla patryotów. Ale było miejsce na płatnych agentów rosyjskich. Nastąpiły rządy konsula rosyjskiego Dawidowa i jeneralnego konsula Hitrowa, Jonina, wreszcie nadchodzi Repnin w osobie Kaulbarsa.

Nastąpiła krótka dwutygodniowa wojna z Serbią, zakończona świetnem zwycięstwem pod Sliwnicą i unia z wschodnią Rumelią, tryumfujący pochód do stolicy — i jak żeby na potwierdzenie, że skała tarpejska jest najbliższą Kapitolu sąsiadką — straszna, tragiczna noc z 20 na 21 sierpnia 1886 r., ucieczka księcia Alexandra. Wtedy w tej strasznej chwili znalazł się człowiek, który wśród tego zepsutego byzantyńskiego społeczeństwa dowiódł nieprzedawnionego prawa dojrzałości politycznej Bułgaryi, który odegrał opatrnościową rolę obrońcy ojczyzny i wcielił w siebie całą bohaterską duszę uciemżonego i znieważonego narodu.

Był nim Stambułow.

Jako prezydent Izby Stambułow ujął w energiczną dłoń rządu zdemoralizowanego wieloletnią intrygą rosyjską społeczeństwa. Jako członek regencyi przerastał zdolnościami, energią i wolą i siłą swoich towarzyszy Mutkurowa i Radosławowa. Przerastał ich i lekcewał ich. Rządy ujął sam w ręce i rok cały po detronizacji Aleksandra panował jako dyktator bułgarski w Sredu.

2 grudnia 1886 wyjechała deputacya bułgarska, złożona z Grekowa, Stoiłowa i Kalczewa obejrzeć się po Europie za nowym księciem. Książę Waldemar odmówił, księcia Dadiana z Mingrelli Stambułow nie dopuścił w obawie, że z rosyjskim księciem Bułgarya popadłaby w rosyjską niewolę.

Książątko, o którym opowiadano, że do służby wojskowej jest niezdolne, że inteligencya jego nie pozwala mu na zrozumienie artykułu dziennikarskiego, a uroda jego nie pozwalała mu na zbałamucenie baletnicy, bo się z nią chciał żenić, zasiada na tronie zwycięzcy z pod Sliwnicy.

Stambułow opanowyya go najzupełniej, zakreślając mu wprost kierunek jego władzy, opiekuje się nim, uczy go, wpro-

wadza go w agendy państwowe, informuje go, troszczy się o to dziecko na tronie, żeni go, wychowuje go. A kiedy na życie księcia dybano, Stambułow go ratuje z osobistym narażeniem i mści go nie przeczuwając, że książę tego nie uzna, a banda morderców śmierć swych towarzyszy na nim samym pomści.

Tymczasem książętko na tronie zaczyna buńczucznieć; grzebięć mu koralem nabiega, zaczyna poza głową Stambułowa robić politykę własną. A cel tej polityki był jedyny: uznanie jego księstwa przez dwory europejskie.

Więc listy do przyjaciela młodości z *chambres séparées*, ks. Walii, ażeby jako szwagier cara wyrobił mu tam protekcję. Dynastia Koburgów w Bułgarii, to stało się hasłem księcia. A przytem stara się wydobyć z pod wpływu Stambułowa. Woli sto razy być sługą Rosyi, niż słuchać tego barbarzyńcy, tak się wyraża z delikatnością koburgskie książętko, które temu barbarzyńcy wszystko zawdzięczało.

Pycha i duma tak go owładnęły, że na końcu istotnie uwierzył, że on jest naprawdę księciem bułgarskim i sam rządzić potrafi.

Czy nim zostanie długo? Wypadki ostatnich dni dziwne rzucają światło na drugiego księcia bułgarskiego. Rodzina Stambułowa wprost go oskarża o współwinę w śmierci wielkiego patrioty. Wdowa wyrzuca jego adjutanta za drzwi i zwraca mu wieniec książęcy, rząd i wojsko i urzędnicy w pogrzebie dzisiejszym nie biorą żadnego udziału — a tymczasem senior monarchów europejskich, cesarz Franciszek Józef, szle telegram kondolencyjny, minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski, ostentacyjnie wyraża oburzenie z powodu morderczego zamachu na „najpierwszego syna Bułgarii“, Crispi łączy się w tych objawach żalu.

A tymczasem w Rosyi metropolita Klement wyprawiony z błogosławieństwem Sobranja i amnestją księcia, zebrze u progu wszechwładcy Rosyi łaski carskiej, a prasa francuzka z byzantyńską podłością kala cienie zamordowanego i rzecz charakterystyczna, sekunduje jej w tem prasa młodoczeska.

Jest to znamiennem i jeszcze raz zadziwiającem, że te same osobistości, których prasa polska skrupulatnie interwjuje w chwili, kiedy cesarz austriacki przesyła oficjalną kondolencję, wobec niezastygłego ciała Stambułowa ciskają ohydne obelgi, zwąc go „zbizem, którego dosięgnął los sprawiedliwy“.

Nawet prasa rosyjska dała wyraz uczuciom ludzkim, „Nowoje Wremia“ i „Swiet“ dzisiejszy piszą — *de mortuis nihil nisi bene*.

Historya daje mnóstwo dowodów, że z cudzych doświadczeń dziwnie mało się korzysta, że niejeden naród mógł by sobie wiele błędów, nieszczęść, katastrof oszczędzić, gdyby korzystał z doświadczeń drugiego narodu. Ileż analogii dałoby się wysnuć z dziejów upadku naszego. Znakomity nasz historyk mówi, że i ten wpływ a potem panowanie Rosyi „samo nie przyszło“, a bywało, żeśmy je sobie „sami wypraszałi“. Deputacya So-branja, pokłony Klementa jakże przypominają deputacyę Radomszczyków.

Miejmy nadzieję, że u trumny Stambułowa, który jak nikt uosabia poczucie niepodległości, czysty patryotyzm Bułgara, obudzą się w narodzie szlachetniejsze instynkta, przyjdą na pamięć doświadczenia narodów, które niegdyś także szukały „opieki“ w Petersburgu . . .

Dr. Witold Lewicki.



O psychologii indywidualno-eksperymentalnej.

Psychologia eksperymentalna liczy zaledwo kilkadziesiąt lat istnienia. To nie przeszkadza, że dziś już spostrzegać się w niej daje dążenie do ścisłego odłączenia się od siebie dwu wybitnych kierunków: kierunku eksperymentalnego, mającego na celu badanie praw psycho-fizycznych w ogóle i kierunku indywidualno-eksperymentalnego, tak zwanej przez Niemców „Individual-Psychologie“, której zadaniem jest poznawanie zбочzeń i odstępstw indywidualnych od tychże praw ogólnych.

Przedstawicielem pierwszego z tych kierunków jest Wilhelm W u n d t, przewodnik najznakomitszego w Europie laboratorium psychologicznego w Lipsku, oraz wydawca „studiów filozoficznych“, zawierających przeważnie rezultaty doświadczeń tegoż laboratorium. Na czele drugiego z nich stanął były uczeń Wundta, Emil Krepelin, profesor zakładu obłąkanych w Heidelbergu, jest on zarazem dyrektorem tamtejszego laboratorium psychologicznego i wydawcą kwartalnika „Psychologische Arbeiten“, którego pierwszy zeszyt wyszedł w styczniu 1895 r.

Zarysowanie programu i przedstawienie zadatków eksperymentalnych tego najnowszego prądu w psychologii poprzedzimy krótkim przypomnieniem rezultatów psychologii eksperymentalnej wogóle. Charakterystyką psycho-fizyki jest wprowadzenie do niej nowych zupełnie metod, dozwalających stosowanie miary i wagi do objawów świadomości na wzór takichże miar we fizyce albo chemii. Pierwsze uśiłowania w tym zakresie wyszły od przyrodników i lekarzy, jak Henryk Weber, Gustaw Fechner, H. Helmholtz i Zigmunt Exner. Oni przygotowali grunt dla szybko mającej się rozwinąć psychologii naukowej.

Dalszą pracę na genialnie wytworzonych podstawach swoich poprzedników, podjął Wilhelm W u n d t, twórca szkoły eksperymentalno-psychologicznej, z której wyszła cała falanga

młodych uczonych, że wymienię tylko Münsterbergera, Külpe'go i Krepelina. Ścisłości metod eksperymentalnych, jak i możliwości posługiwania się liczumi, doskonalonemi nieustannie aparatami, do celów psychicznych, zawdzięcza psycho-fizyka zebranie znacznego już dotąd materiału eksperymentalnego. Najobszerniejszym zaś i najbardziej obrobionym działem tychże doświadczeń są miary, dotyczące wrażliwości poszczególnych organów zmysłowych w stosunku do ściśle określonej podniety zewnętrznej. Możemy obecnie wyrażać cyframi jakość i ilość podniety, czy to świetlnej, czy słuchowej, albo ciężarowej, jaka niezbędna jest dla wywołania w świadomości najmniejszego wrażenia optycznego, akustycznego, lub dotykowego; możemy taksamo, lubo walcząc z większymi nierównie trudnościami, obliczyć najwyższą granicę podniety, poza którą wszelkie jej podwyższanie nie zdoła obudzić silniejszego wrażenia, oslepiając bowiem i ogłuszając swoją intensywnością usuwa się ono z pod wszelkiej możliwej apercepcyi.

Znanym nam jest również postęp, w jakim podnosić należy stopniowo najmniejszą dostrzegalną podniety, aby wywołać w świadomości coraz to silniejsze wrażenia. Jeżeli np. najmniejszy odczuwany ciężar wynosi $\frac{1}{5}$ grama, my zaś chcemy wywołać w świadomości wrażenie silniejsze od pierwszego, ale o tyle tylko, aby pomiędzy obydwo ma ciężarkami destredz najmniejszą możliwą różnicę, wówczas ciężar ów podnieść musimy o $\frac{1}{30}$ jego zawartości, czyli, jak w tym wypadku o $\frac{1}{150}$ grama itp. Zależność tę wzrastania czucia wewnętrznego od wzrastającej podniety, wyraża prawo tak zwane od jego odkrywcy, prawem weberowskim, albo prawem psycho-fizycznym, jednym z największych odkryć psychologii eksperymentalnej. Prawo to opracował i sformułował po raz pierwszy Fechner, a następnie Wundt, mówiąc „wrażenie wzrasta, jak logarytm podniety“.

Drugim ciekawym i bogatym w obfite rezultaty zakresem psycho-fizyki jest mierzenie długości czasu potrzebnego do wytworzenia żądanej apercepcyi. Doświadczenie codzienne uczyło. iż każde wrażenie, jakiemby ono nie było, powstaje w pewnej częstotczce czasu, atoli, jak długim jest ów czas, wykazały dopiero eksperymenta psychologiczne, przedsiębrane z pomocą znakomite w tym względzie oddających usługi chronoskopów Hipp'a.

Z doświadczeń tych wiadomo dziś, iż apercepcya słuchowa, poza obrębem różnie indywidualnych trwa 0·143 sekundy, wzrokowa 0·189, apercepcya dotykowa 0·155, a więc że wra-

zenie wzrokowe potrzebuje dłuższej względnie cząsteczki czasu do wytworzenia się, niż wrażenie słuchowe, albo dotykowe itp.

Były to najpierwsze doświadczenia. Od tych przystępowano z wolna do badania więcej złożonych objawów psychicznych, jak asocjacja, pamięć, wpływ afektu na funkcjonowanie oddechu, dalej poddawano miarom reakcy woli, sądu i wyboru ogarniając coraz to większy zakres dla psychologii posługującej się wyłącznie eksperymentem. Oczywiście, iż to co zdziałano dotąd na polu owych bardziej skomplikowanych zjawisk psychicznych, jest dopiero drobnym zadatkiem miar i eksperymentów przyszłości, ale zadatkiem cennym, niezmiernie to dowodzącym, że nie zbraknie psychologii sposobów, środków i metod w celu ogarnięcia z czasem całego zakresu badań odnośnych do psyche ludzkiej.

Ale powiadają skeptycy i zwolennicy psychologii racjonalnej: i cóż nam z tego, że wiedzieć będziemy, jak długo trwa reakcja, czy to optyczna, czy akustyczna, co z tego, że znamy liczebny stosunek zwiększenia się podniety, warunkującej wzrastanie wrażenia: że istnieją te różnice, wiemy, i bez tych miar mocą samej obserwacji zewnętrznej, ale gdzież cel, gdzie rezultat praktyczny z tych mozolnie zbieranych eksperymentów psychologii numerycznej, jak ją nazwano z lekceważeniem? Na owo pozbawione wszelkiej słuszności pytanie odpowiemy później, rozpatrzwszy się poprzednio w danych kierunku indywidualno-eksperymentalnego, którego twórcy posługują się środkami i metodami nierównie jeszcze prostszymi. Impuls do wytworzenia psychologii indywidualno-eksperymentalnej wyszedł od ubogich w środki skutecznej dyagnozy lekarzy i profesorów psychiatrii. Od dość już dawnego czasu ciekawym dla psychiatrów przedmiotem badań były tak zwane sztuczne objawy świadomości, to jest objawy wywoływane mocą narkotyków, jak kawa, herbata, wino, alkohol albo opium, morfina, china itd. Doświadczenia te przekonały niebawem, że już do-razne użycie choćby w małej tylko ilości alkoholu albo opium, znaczne sprowadza opóźnienie reakcy poszczególnych organów zmysłowych, i że spadek ów odmiennym jest co do stopnia u różnych indywidualności.

Osiągnięte na tej drodze rezultaty nasunęły same przez się pytanie: jakimi mogą być w porównaniu do reakcyj sztucznych albo i normalnych, reakcyje ludzi chorych umysłowo? Buccolo we Włoszech, Obersteiner we Wiedniu, uwzględnił i ów nowy dział psychometrii, która prócz nielicznych pozytywnych danych złożyła dowody ogromnych trudności w jej zastosowaniu. Naturalną bowiem rzeczą jest, iż miary te mogą

mieć wartość o tyle tylko, o ile osobnik poddający się im, posiada nie tylko dobrą wolę wykonywania ich z całą dokładnością, ale i o ile tenże jest w możności zdawania sobie sprawy z przebiegu samego doświadczenia: z przeszkód lub ułatwień doraźnych, jakie wpłynąć mogły na względne przyspieszenie lub opóźnienie reakcji.

Widząc te niedogodności Krepelin powziął myśl wprowadzenia do psychometrii metod nierównie przystępniejszych, a mianowicie takich, któreby można z jednej strony stosować bez różnicy do enerych jak i do zdrowych, a któreby z drugiej dawały rękojmię materiału eksperymentalnego o charakterze ściśle naukowym.

Oto w krótkości program Krepelina w tej mierze. Jako psychiatra ma on głównie na celu wydoskonalenie dyagnozy psychiatrycznej za współdziałaniem doświadczenia nabytego w psychologii eksperymentalno-indywidualnej: programowi jego nie brak przez to charakteru filozoficzno-psychologicznego.

Każda choroba umysłowa, mówi on, jest chorobą osobowości, chcąc zatem usunąć pierwszą, potrzeba najpierw odnaleźć klucz do poznania drugiej. To samo jednak mówiono już i dawniej, psychiatrya bowiem od dawnego czasu uciekała się po objaśnienie do psychologii racjonalnej, ale jako środek poznawczy wyносиła z niej jedynie umiejętną obserwację chorego w jego ruchach, postępowaniu, mówieniu, asocjacji myślowej i t. d. Obserwacya ta zaś chociaż często bystra i szczęśliwa, często okazywała się mylną i zupełnie fałszywą, nigdy pewną i stanowczą. Krepelinowi też nie chodzi o wzbogacenie owej powierzchownej charakterystyki indywidualnościowej, zależnej od mniej lub więcej rozwiniętego doświadczenia obserwacyjnego psychiatry, ale o jej ocenę bezpośrednią, uwarunkowaną eksperymentem, rorporządzającą cyframi. Postępowanie zaś tego rodzaju będzie możliwem wówczas, gdy psychiatrya zaopatrzy się w łatwe i przystępne metody do mierzenia charakterystycznych właściwości normalnie lub anormalnie funkcyonującego umysłu i gdy odnajdzie przeciętne typy tegoż funkcyonowania u ludzi zdrowych i chorych dla zestawienia ich następnego i porównywania wzajemnego, co pozwoli odnaleźć względną granicę pomiędzy objawami patologicznymi i normalnymi.

Do właściwości charakteryzujących funkcyonowanie ogólne umysłu, które mają być przedmiotem miar, zalicza Krepelin w pierwszym rzędzie ilość i jakość pracy intelektualnej, jaką dana jednostka wytworzyć jest w stanie w pewnym odstępie czasu. Z powyższem zaś naczelnem zadaniem łączy inne ściśle z niem związane, a odnoszące się jużto do

różnic indywidualnościowych w wytwarzaniu postępu podczas częściej podejmowanej pracy, już to do podatności wśród niej na zmęczenie lub znoszenie tegoż zmęczenia wypoczynkiem, już to nakoniec do objawów tego rodzaju, jak odporność umysłu na przeszkody zewnętrzne, odwracające uwagę od zajęcia umysłowego. Są to cechy wspólne wszystkim umysłom bez wyjątku: każdy z nas pracuje intelektualnie, lubo w niejednakowej mierze, każdy po dłuższym wyteżeniu uwagi czuje się mniej lub więcej zmęczonym, po krótszym zaś lub dłuższym wypoczynku znużenia tego się pozbywa, każdy w zajęciu swem robi zazwyczaj postępy w moc przyzwyczajania i ćwiczenia: różnice te jednak indywidualne są bardzo znaczne, bo zależne nietylko od odpowiednich uzdolnień, stopnia rozwoju umysłowego, przyzwyczajenia i wieku, ale i od różnorodnych wpływów zewnętrznych. Ale dotąd nie wiemy, do jakiego maximum n. p. może się podnieść owo quantum pracy, albo do jakiego opaść jej minimum, jak również obcą nam jest zależność tejże wytwórczości intelektualnej od zmęczenia lub kielkującej choroby i t. p. Jeżeli jednak przy wydoskonaleniu metod eksperymentalnych obliczać będzie można ilość i jakość tejże pracy oraz ujmować je w cyfry i cyfry te pomiędzy sobą porównywać, wówczas rzuci to ciekawe bardzo światło na wytwórczość umysłową w ogóle, dostarczając ciekawych wskazówek tak psychologii jak i psychiatrii.

Nie mniej ciekawymi mogą być wyniki takiegoż badania względnie do wytwarzającego się w umyśle zdrowym postępu. Człowiek normalny oddając się dłużej jakimkolwiek bądź zajęciu odrabia je z coraz to większą zręcznością i łatwością i z coraz mniejszym nakładem czasu i sił. Pytanie jednak jak się ma rzecz z owymi objawami u chorych: o ile powtarzanie jednej i tej samej pracy wytwarza postęp, a o ile cofanie się, bo i to ostatnie jest możliwem.

Zmęczenie w pewnych granicach nie jest wcale, jakby sądzić można, objawem patologicznym; wcale nie, jest ono stałym zjawiskiem w ogólnych objawach życia duchowego. Jeżeli jednak przekracza ową zwykłą granicę, przedłużając się bezmiernie, nie ustępując zwłaszcza wobec odpowiednio unormowanego wypoczynku, znamionuje już to osłabienie przejściowe, już to groźną, może nawet zbliską, chorobę umysłową. Psychiatria tymczasem niema dziś środków na rozmierzenie stopni zmęczenia na odróżnianie zwłaszcza zmęczenia normalnego od anormalnego, przejściowego od groźnego: to też leczenie chorób umysłowych zaczyna się dopiero po ich wybuchu, często już w chwili, kiedy choroba przeszła w stadium nieuleczalne.

Podobne braki istnieją i w ocenie odporności umysłu na

przeszkody zewnętrzne. Znaną jest wrażliwość na nie osób pracujących umysłowo. Schopenhauer i inni twierdzą, że im większą jest zdolność umysłowa, tem mniejsza owa odporność. Goethe kupuje dom graniczący z jego willą dlatego tylko, aby sobie zapewnić spokój i samotność. Schopenhauerowi uliczna wrzawa, strzelanie z batów, trzymanie psów po domach nasuwa zdania pełne goryczy i wzgardy dla głuchych na owe wpływy udręczające iście zdolny umysł. Ale są to dopiero spostrzeżenia indywidualne, psychologia eksperymentalna winna znaleźć ich potwierdzenie i uzupełnienie w eksperymencie. Ale zamiast zastanawiać się dłużej nad szczegółami programu Krepelina przejdziemy do zilustrowania przykładami eksperymentalnymi. W celu oceny powyżej omówionych właściwości umysłu posługuje się on prostymi bardzo i przystępnymi dla każdego środkami jak obliczanie cyfr albo liter, także ich pisanie etc. Eksperymenta te robione obecnie na zdrowych tylko odbywają się w następujący sposób.

Prośrodku dużej sali umieszczonym jest zegar tego rodzaju konstrukcyi, iż odpowiednio nakręcony daje sygnał co 5 albo 10, 20 i 30 minut. Naokoło tegoż zegaru ustawione są stoły, przy których pracuje 10 do 12 osób nad obliczaniem np. liter na umyślnie ku temu celowi przygotowanych, drukowanych książkach.

Na pierwszy sygnał zegaru, wprawionego w ruch przez eksperymentatora, wszyscy równocześnie zaczynają liczyć z jak-największą uwagą i szybkością, w ten sposób jednak, iż zliczywszy 100 liter, każda z osób obowiązana jest zrobić na swoim egzemplarzu znak i znów, nie zatrzymując się wcale, obliczać dalej, od jednego aż do stu i t. d. W chwili zaś, gdy zegar daje drugi i następne sygnały, co 10 minut np., wszyscy równocześnie uderzenia te znaczą na swoich zeszytach, bo znaki te służą następnie eksperymentującemu do orientowania się wśród otrzymanych z tejże pracy wyników.

Trwa to zazwyczaj godzinę albo dwie z rzędu, wymaga zatem znacznego nakładu cierpliwości i wytrwałości, zwłaszcza iż materiałem podatnym do naukowych zestawień jest ten tylko, który się osiąga przy wielkiej sumiennosci i dokładności ze strony współeksperymentujących. Zebrane zaś cyfry pouczają nie tylko o różnicach indywidualnościowych co do ilości i jakości pracy, ale i o różnicach co do innych powyżej omówionych cech funkcjonującego umysłu.

Oto kilka cyfr: Jedna osoba oblicza w przecięciu 8854 liter na godzinę. Na zaapercypowanie zatem jednej litery jak i doliczenie jej do następnej potrzeba czasu odpowiadającego

0.406 sekundy, biorąc za jednostkę $\frac{1}{10,00}$ sekundy. Różnice indywidualnościowe choć nie bardzo znaczne, są jednak wyraźne: osoba pracująca najszybciej, oblicza w godzinę 11.348 liter, najwolniej obliczająca 6787, pośrednio 8633 i t. d.

Znaczniejsze różnice wywołuje zmęczenie, spowodowane dłuższą pracą. Otrzymane rezultaty wskazują, iż maximum łatwości i swobody pojawia się mniej więcej po 40 minutach, chociaż są osoby, które do tego maximum dochodzą nierównie wcześniej, bo już po 10 minutach. U innych zaś spostrzegać się daje szczególniejszy objaw zmęczenia, które uwidocznia się spadaniem od samego zaraz początku. Przyczyną tego zaś jest wyczerpanie, z jakim się przystępuje do nowego zajęcia.

Charakterystycznym jest również objaw wahania się szybkości w pracy w pierwszych kilku minutach, jak gdyby osobie najpierw potrzebował się zaadaptować do obcej sobie dotąd pracy etc. etc.

Doświadczenia te oczywiście powtarzają się po wielokroć razy; z licznych dopiero ich seryi wyciągać można cyfry przeciętne, cyfry mianowicie wskazujące na działanie przyzwyczajenia i wpływu tegoż na objawy zmęczenia i t. d.

Eksperymentów tych jak i programu Krepelina krytyce poddawać nie będziemy; byłoby to przedwczesnem, zważywszy zwłaszcza, iż w tego rodzaju doświadczeniach jednym z najważniejszych czynników ich użyteczności jest zarówno sumienność eksperymentalna jak i umiejętność spożytkowania tychże wyników doświadczalnych.

Nakoniec wspomnieć należy o rozpoczętych również w laboratorium Krepelina doświadczeniach grafologicznych. Jestto jedna z najpierwszych prób naukowego traktowania tego co dotąd pozostawało wyłącznie w rękach dyletanckiej grafologii. Umysłny do tego aparat pozwala na dokładne bardzo obliczanie różnic indywidualnościowych nacisku masykularnego podczas pisania.

Tyle co do samych doświadczeń. A teraz nie wiele słów potrzeba dla wskazania celów praktycznych psychologii eksperymentalnej w jej najszerszem znaczeniu oraz na udzielenie odpowiedzi skeptycznie wobec niej usposobionym.

Mózg oceniać subtelność wrażliwości poszczególnych organów zmysłowych co do jej jakości, ilości i nastroju (to jest połączonego z nią miłego lub przykrego wrażenia); mózg w cyfry ujmować podatności osobnika na reakcyę woli sądu, wyboru lub zwykłej percepcyi, posiadać dowody cyfrowe na szkodliwość dla rozwoju psychicznego alkoholów i narkotyków; odnaleźć środki i metody ku ocenie wytworczosci intelektualnej, oraz podatności na zmęczenie albo odporności wobec tegoż:

czy to nie zadziwiające i imponujące swoją wielkością rezultaty wiedzy eksperymentalnej, których doniosłości i pożytku ściśle nie podobna obliczyć, ale które, spodziewać się mamy prawo, będą, choć w dalekiej jeszcze przyszłości, najważniejszymi czynnikami w celu udoskonalenia metod pedagogicznych i psychiatrycznych jak i czynnikami w reorganizacji środków karnych, a nakoniec gruntem, na którym oprą się przyszłe teorie etyczne.

Któż bo nie wie o tem, że pedagogia postępować dziś jest zmuszoną w wielu bardzo razach prawie na oślepię, niemając innych danych ku ocenie uzdolnień dziecka nad próbowanie ich i naciąganie na tę lub inną stronę? kto nie wie, że najzdolniejszy psychiatra nie jest w stanie rozpoznać kiełkującej choroby umysłowej, którą w zarodzie usunąćby zdołała dobrze zastosowana higiena? kto nie wie, że nie posiadamy racjonalnego sprawdzania dla osądzenia poczytelności lub niepoczytelności zbrodniarza, niepozbawionego skądinąd uczuć iście moralnych? Kto nie wie nakoniec, że pomimo tysiącletniej pracy moralistów brak nam dotąd naukowych podstaw etycznych: psychologia bowiem, która winna być rozstrzygającą w owych najwyższego zadania kwestjach społecznych, grzebała się dotąd w mało produktywnych poszukiwaniach samopoznawczych i obserwacyjnych, na których, jak to wykazała krytyka, polegać nie można jako na zmiennych i zależnych od indywidualności autora.

Psychologia dopiero eksperymentalna, której zadatki wytworzyła praca ostatnich kilkudziesięciu lat, zapełnić zdoła z czasem owe braki i dostarczyć odpowiednich środków dla naukowej dyagnozy w zakresie czy to pedagogii, czy psychiatryi albo etyki.

Kto wobec tego obniża znaczenie psycho-fizyki obniża zarazem znaczenie wiedzy o psyche ludzkiej w ogóle.

Dr. Anna Wyczółkowska.



Fraszki Rodocia.

1.

Kiedym w Japonii był, widziałem
Ot o d o k a t ó w bratnie grono;
Których dewizą: Sercem śmiałem
Stawać za prawdę uciśnioną.

U nas inaczej: prawda sama
Broni się bez Ot o d o k a t ó w.
Ztąd ta rycerska u nas, dama
Nosi na plecach znaki batów.

2.

Jeden mówi: na lewo nam iść nie wypada;
Drugi woła: na prawo idźmy — tam zdrada!
Trzeci każe brać losy ogniem i żelazem,
Czwarty krzyczy: jesteście łotry wszyscy razem.
Piąty radzi przed siłą padać na kolana,
Szósty milczy; a prawda, zawoalowana,
Od fałszywych proroków stanęła zdaleka,
I, smutna, na wyznawcę uczciwego czeka.

3.

Panowie! Prawda? . . . Raj byłby ze świata,
Rozkoszny spokój owładnąłby duszą,
Gdyby nie pewne dzikie systemata,
Które dowodzą, że głodni jeść muszą.

4.

Czytam dziennik — samobójstw jednego dnia sześć:
Trzech w łeb sobie palnęło, niemając co jeść,
Dwóch, że dziesięć lat kradnąc, nie mogło kraść dalej,
A jeden, że mocniejsi go prześladowali.
Rzecz smutna, kto wie jednak, czyli przeznaczenie,
Nie prowadzi ludzkości do światła— przez cienie.



Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych.

Z rozwojem nowego kierunku w sztuce i literaturze, powstają i odpowiedni jemu krytycy. Jednym z najwięcej protegujących wszystkich „secesjonistów“ artystycznych w Niemczech jest Dr. Oscar Bie, obok którego stoją Georg Hirth, Avenarius, Max Osborn i wielu innych młodych, pełnych temperamentu i żądzy w szukaniu nowych dróg dla popularyzowania kierunków, wyłamujących się z pod szematu i bezmyślności ostatnich czasów i występujących przeciw fabrykatowi sztuki. Kto badał dokładnie jakkolwiek z olbrzymich wystaw zbiorowych? Trzeba chyba żarłokiem sztuki zostać, aby tego dokazać. Trzeba być nieprzyjacielem prawdziwej sztuki. Publiczność tłoczy się do sali i przypina — na sposób much siadających na ostrych i gładkich przedmiotach — do pierwszego lepszego obrazu, wiszącego w miejscu najbardziej w oczy wpadającym, albo leżącego jego oko pikanteryą lub słodyczą tematu. Znawcy z pewną krytyczną samowiedzą, wyszukują swoich ulubieńców i stale przy zwiedzaniu wystawy do nich się wracają. Aby być sprawiedliwym potrzebaby każdemu dziełu sztuki będącemu na wystawie, ofiarować tyle czasu, ileby na poznanie i skrytykowanie go w pracowni się oddało. Trzeba go bowiem ocenić podług jego indywidualności i artystycznego rozwoju jego twórcy. Wynik z tego rozumowania twierdzi, że wystawa jest w samej sobie sprzeciwieniem. Można by powiedzieć wprawdzie, że właśnie różnorodność wystawionych dzieł pozwala na ich dokładne obejrzenie, ponieważ można po wrażeniu jednego wypocząć patrząc na inne. Ale każdy z artystów wie doskonale, że na wystawie sąsiad jest śmiercią sąsiada. A przecież olbrzymie te „salony“ są pewną potrzebą, gdyż zostały zrodzone z chwili czasu i nie pozwolą się z wymagań tego czasu usunąć. Im więcej jednak wystawa jest konsekwentną, tem mniej daje artystycznego zadowolenia, to znaczy, że nie pozwala na dokładniejsze zapoznanie się z danym artystycznym osobnikiem. Każdy ze zwiedzających idzie do innej sali i przed innymi staje dziełami. Jeden drugiemu z krytyków i znawców o innym artyście i o innym dziele rozprawia. Zaledwie podziwiasz jeden obraz, ciągną cię znajomi do drugiego,

który im się wydaje najlepszym; dziś tu, jutro tam wskazują ci arcydzieła wrzekome. Zmęczonym zostaniesz i zestarzejesz w tym chaosie tysiąca zdań, aż w końcu popatrzysz na to i owo spieszysz do domu z temi właśnie kilkoma wspomnieniami i na nich dopiero starasz się zbudować własną filozofię.

Ponieważ wystawy zaczęły budzić wszystkie nadzieje do spełnienia wszystkich życzeń większości naszych artystów, musiały naturalnie w tych właśnie kołach obudzić i łatwo zapalną namiętność, zarozumiałość i pychę. Każdą wystawę można badać ze strony jej zarozumiałych obrazów. Są tu obrazy zasługujące na nazwę pyszalkowatych, ale są i takie, które się tego wstydzą. Nawet tuzinkowy charakter jest własnością naszych wystaw. Zawsze i ciągle słyszmy pytanie: gdzież jest ten wielki obraz wystawy? Niema żadnego, bo wystawa stała się znowu cokolwiek bardziej demokratyczną. Dawniej, kiedy Delacroix odniósł tryumf na 22 wystawie, albo kiedy ukazali się po raz pierwszy Prerafaelici, lub w końcu, kiedy Szkoci zrobili epokę swoją w Monachium, wtenczas łatwiej znaleźć było można środek w wiecznym kole zbiorowych salonów; wtenczas datowało się od pewnej wystawy. Dzisiaj coraz to trudniej o takie daty, a te doroczne jarmarki artystyczne równają się wynikowi, na jaki takie zbiorowisko zasługuje.

To są zadania i przekonania, jakie Dr. Bie głosi w swoich krytykach. Niezawodnie, że są one cokolwiek za jednostronne, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę ten ogromny wzrost proletariatu artystycznego, który rozpanoszył się w stowarzyszeniach i protegowanych kołach, a który wychodzi na jaw nicością swoją dopiero na wielkich zbiorowych wystawach, to przyznamy słuszność tym zdaniem.

Mówiąc o Jury, szczególnie o Jury trwającej obecnie wystawy w Berlinie, odzywa się Oscar Bie z pewnem lekceważeniem, a nawet pogardliwym traktowaniem całej instytucji artystycznych sędziów.

„Instytucja Jury, pozostałość jeszcze z feudalnych czasów, musi zniknąć, jeżeli wystawa ma tworzyć wolną konkurencję, za jaką właśnie przedstawia się nam ona w doniosłości swojej naszej obecnej epoki artystycznej. Artyści powinni sami za siebie odpowiadać, bądź to systemem asocjacji, jaki Société nationale des Beaux-Arts zaprowadziła, albo innym jakimś rozumnym systemem kooptyacyjnym. Konieczną bowiem jest potrzeba, aby zarząd wystaw był możliwy do zmiany i postępował z czasem. Wtenczas przekonamy się, że te olbrzymie salony rzeczywiście dają dochody wtenczas, jeżeli przed nimi jest urządzona piwiarnia z wojskową orkiestrą, dająca nam wypoczynek, i że prawdziwe artystyczne zadowolenie daje tylko ograniczona i mała wystawa. Każde dzieło musi tak być ustawionem, aby się miało chęć i możliwość oglądania

go jako jedną całość. Ale berlińska Jury ma zupełnie inne przekonanie. W polemice z nią szkoda każdego słowa, a o nadziei jakiejś zmiany mowy niema. Berlińska Jury jest oligarchiczną w najgorszym znaczeniu tego wyrazu. Dworactwo zapanowało nad całą sztuką. Byłoby rzeczywiście cudem, gdyby to dworactwo stało się przypadkowo artystycznym. Panujący artyści biją pokłony w górze i dlatego mają siłę na dole. Zmuszają do ponownego ich obioru i kamienieją. W Berlinie, gdzie tego rodzaju czynniki zawsze urodzają dla siebie znajdując glebę, zasiadają w Jury ludzie wprost najmniej zdolni. Berlińska Jury okazuje swoją nieudolność nie tylko w tworzeniu, ale i organizacji.“

Są to słowa rzeczywiście bez żadnej osłony, otwarte, ale i prawdziwe. Ocena wystawy i Jury, rzucona tu przez berlińskiego krytyka, odpowiada wszystkim po większej części towarzystwom zajmującym się jakoby zachętą do pielęgnowania sztuk pięknych. Na poglądy Oscara Bie, piszę się i ja w zupełności, dodając, iż dopóki na wielkich wystawach nie będzie logicznego rozdziału w technice i charakterystyce dzieł sztuki, dopóki dzieła te nie będą tak ustawione i sklasyfikowane, aby je można oglądać z pewnem namaszczeniem, dotąd wielkie zbiorowe wystawy nie będą niczem innym, jak zbiorem okazów wytworzonych pośpiechem pary lub elektryczności. Robią one wrażenie przemysłu pracującego fabrykami, prądami wody, suggestyą i szablonem. Indywidualność staje się osobistą marką ochronną, po której zdaleka pewne dzieła poznawać można; kierunki socjalnego, mistycznego, albo naturalistycznego malarstwa przechodzą w sport, który się wyzyskuje; o wyniku zaś artystycznym rozstrzyga materiał, w jakim ten lub ów spekulant przemysłowy całe życie pracuje.

Do czego wreszcie dojdzie ta walka wzniosłej i poważnej sztuki, z łaszącym się, a zdawkowym jej fabrykatem? Przyznać jednak trzeba, że wśród blagierów i lichwiarzy znajdujemy dosyć ludzi wielkich a pełnych siły, którzy jeszcze panują na rynku artystycznym, ale pomimo tego, chciałbym się wydobyć z tego fabrycznego zaduch tej sztuki, aby odetchnąć czystem jej powietrzem.

Roman Lewandowski.



Z salonu londyńskiego.

Wiosna jest żniwem malarzy, a że społeczność angielska faworyzuje sztukę plastyczną coraz więcej, rozpostarły się znowu w licznych galeryach setki kłosów, wynoszących głowy jeden ponad drugi. Przy bliższym przeglądzie wszakże uderza, iż ziarna w nich niewiele. A jest to naturalnym wynikiem ilościowego rozkwitu sztuki, liczącej tysiące adeptów. Wobec ogromnego popytu na płody beletrystyczne np. pisarze, pokonawszy kardynalne punkta techniki, podejmują każdy chociażby najslabszy pomysł bez krytycznego wyboru. Wprawdzie każdy temat jest sam przez się dobrym, lecz aby podnieść go do wyżyny sztuki, należy wlać weni pewien zasób ducha, a zatem wydobyć z niego pointe'y, zaakcentować wytyczne momenty i uwydatnić myśl przewodnią. Czem temat jest blahszym, tem trudniej przeto stworzyć zeń interesujące dzieło sztuki. Tymczasem wielu autorów nie zdaje sobie z tego sprawy, lub w braku odpowiedniej artystycznej wrażliwości nie umie przesiać pomysłu przez sito temperamentu. Tensam objaw występuje jeszcze drastyczniej w malarstwie. Artysci bowiem, zasłaniając się niejako wymówką, że pędzel nie jest tak jak pióro powszednim środkiem wyrażania koncepcyi, zaniedbywali rażąco technikę. Ztąd w salach królewskiej akademii sztuk pięknych świeciła znaczna liczba bohomasów, które bez uszczerbku dla twórców i sztuki angielskiej mogły być pozostać w cieniu pracowni. Jednakże pod tym względem poziom podnosi się, a otwarcie podwoi dla impresjonizmu wpływa na ożywienie wystaw, które skutkiem bezdusznosci uchodziły w oczach łaknącego oryginalności społeczeństwa za nudne. Atoli impresjonizm, mający nad Tamizą zastęp cennych przedstawicieli, zajął na wystawie akademii tylko trzeciorzędne stanowisko. Zapewne artyści nie przypuszczali, że ojcowie tego sędziwego przybytku sztuki przychylniej się poczęli zapatrywać na nowe prądy, a z drugiej strony komitet „wieszający“ uczynionej koncesyi nie chciał posunąć zbyt daleko, jakby w obawie, aby młodzi nie wystąpili zbyt natarczywie do walki ze spoczywającymi na wawrzynach

akademikami. Lecz zasadniczy ten zwrot jest wiele obiecującym na przyszłość.

Wśród mnóstwa płócien nie przekraczających granic mierzności, wyróżnia się kilka umysłów twórczych, które znalazły należytą ocenę i uznanie. Szczególnie podnieść trzeba prace artystów par excellence angielskich, nawiązujących terażniejszość do świetnej przeszłości sztuki krajowej, którzy jako zgodni spadkobiercy dawnych mistrzów, przekażą swe imiona potomności. Zdumiewającym jest rozwój talentu pana Watts'a, który nigdy nie malował lepiej, jak obecnie w siedemdziesiątej wiosnie życia, potwierdzając orzeczenie Gladstone'a, że umysł u ludzi zdrowych dochodzi do największej potęgi w wieku sędziwym. Obraz jego „Jonah“ nie ustępuje w niczem „Faryzeuszowi“, który w roku zeszłym powszechny budził podziw. Od stalowego tła muru odbija brązowa, wychudła i ohydnie szpetna postać Jony, który ramiona wznosił wysoko z okrzykiem wściekłego oburzenia i wyrazem sarkastycznym twarzy. Skutkiem ścisłości i siły w rysunku żywa, efektowna figura przytwarza od razu oko widza i odrysowuje niezatarcie w pamięci. Sensacyjność jej nie jest zdawkową; całość bowiem zastanawia i zmusza do wnikięcia w głąb duszy. Oryginalnym kolorytem zbliża się najwięcej do Watts'a Frank Dicksee, którego „Paolo i Francesca“ zda się być świetną mozaiką. Mile wpada w oko zielony strój kobiety, ślaniającej się na ramię czytającego. Równie znakomitym, lecz miękkiem, rozkoszującym się widocznie barwami, jest J. W. Waterhouse. Za najlepszy obraz rodzajowy w akademii uchodzi jego „św. Cecylia“ śpiąca przy organach. Być może, płótno jest przeladowanym, lecz całe otoczenie świętej dostrojone jest do ogólnego tonu harmonijnie i składa na natchnioną całość, istotny klejnot wystawy. Z kilku prac wiceprezydenta sir John Millais wyszczególnia się tylko swą „Disciple“, czyli uczennicą, interesującą, inteligentną postacią kobiety w czerni na tle ciemnym. Natomiast prezydent sir Fryderyk Leighton nie wystawił nic godnego uwagi. Cechą prac jego jest konwencyonalność, poza i teatralność pseudo-klasyczna. Tosamo da się powiedzieć o panu E. Poynterze, dyrektorze Narodowej Galeryi.

Alma Tadema i Habert Herkomer, dwaj cudzoziemcy, do grona akademików wliczeni, zażywają powszechnej sławy. Wszystkie zalety pędzla holenderskiego malarza uwydatnia „Wiosna“ czyli święto wiosenne w starożytnych Atenach, nad którym mistrz pracował blisko pięć lat. Pomędzy marmurowymi budowlami posuwa się zwolna świąteczny zastęp z grajkami na czele, a głowy ciękawych wyzierają po bokach, z poza galeryi i filarów. W perspektywie i rysunku Tadema niema wielu sobie równych, sposób malowania marmurów zaś jest nad wyraz świetnym, lecz pewna nie-

dykrecya w doborze barw jasnych sprawia, że wzrok się nuży i próżno szuka punktu, na którymby mógł się zatrzymać i wypocząć. Twarze Greków są konwencyonalne i całość, w którą Tadema włożył ogromny nawał pracy, bezmyślną i nie czyniącą głębszego wrażenia. Pod tym względem góruje nad nim Siemiradzki, z którym Tadema domaga się porównania. Bawarski portrecista, Herkomer, ostatnimi laty popadł w manierę, wpływającą ujemnie na koloryt. Olbrzymie płótno jego wszakże, przedstawiające radnych miasta Landsberga w sali ratuszowej, dowodzi zwrotu ku lepszemu, lecz pomimo efektownego oświetlenia teatralnie ugrupowane zebranie nie budzi interesu, bo figury tych bawarskich mieszczuchów nie są bynajmniej ciekawe. Naturalnie chodziło malarzowi tylko o wywołanie wrażenia z perspektywy, jak można wnosić z umieszczenia obrazu i jego przeznaczenia.

Portretów mnóstwo. Palmę pierwszeństwa zdobył amerykańnik John Sargeant, który pracuje według kilku metod, zawsze z równym powodzeniem. Widzieliśmy portrety malowane, tak jakby je traktował Watts, dalej dzieła w rodzaju Carolusa Durand z uwzględnieniem impresjonizmu, którą to metodą zdobywał łudzącą plastyczność i niezmierną efektowność. Obecnie, pod wrażeniem szkoły francuskiej i Whistlera wystawił kilka płócien, które najwłaściwiej dadzą się określić wyrazem *Stimmungsbilder*. Jeden ton dominuje nad całością lekką, wytworną i czarującą. Z grona dobijających się sławy malarzy wyróżnia się Maurycy Greiffenhagen.

Próżno szukalibyśmy pomiędzy pejzażami dzieła, któreby przywiodło na myśl poetyczne arcydzieła Turnera, chociaż z pewnością niebrak malujących poprawnie krajobrazistów, jak Piotr Graham, lub Mc. Whirter. Oryginalnie przedstawia swe tematy jedynie pan Jerzy Clausen, jeden z niewielu artystów, którzy nie zakreszłają ciasnych ram swej twórczości, a do różnych tematów na odmienną nastrojąją się nutę. Jakoż „*Żniwo*“ jest pracą zachwycającą.

Dzieł, akwareli i rysunków za wiele, wiele cennych prac, w mianowicie portrecik kobiety panny Kate Earle, biało-zółtą scenkę, wyobrażającą pastuchów beduińskich, pędzla E. Nicot'a, most t. zw. wieżowy na Tamizie znanego akwarelisty p. Wyllie, wreszcie port nad kanałem angielskim p. T. B. Hardie. O ile Anglicy nie lubują się w pastelach, o tyle chętnie malują wodnymi farbami i doszli na tym polu do znakomitej doskonałości. W sali rzeźb, w nieobecności sir J. Gilberta królują p. Onslow Ford, słynny ze swych pięknych biustów i Hamo Thornycroft.

Polscy artyści nie mają żadnego przedstawiciela; nawet zamieszkały w Londynie p. Jan Chelmiński świeci w tym roku nieobecnością.

Kilka dni temu ubył z grona akademików wybitny artysta

Henryk Moore, któremu przy tej sposobności poświęcamy słów kilka. Urodzony w Yorku w r. 1831 z ojca zdolnego portrecisty, pierwsze nauki pobierał w tegoż pracowni wraz z czterema braćmi, z których późniejszy akademik Albert zasłynął szeroko jako malarz klasyczny. Począwszy od roku 1853 Henryk Moore wystawiał swe prace w akademii i krajobrazy jego odrazu zwróciły nań uwagę ogółu. Z biegiem czasu ograniczył się do malowania widoków morskich, które zjednały mu zasłużoną sławę. W hymnach pochwalnych na cześć jego brzmiał donośnie głos krytyka tej miary, jak Jan Ruskin. Na wystawie paryzkiej obraz jego: „Po deszczu“ zdobył dlań Grand Prix du Paris i tytuł kawalera legii honorowej. Przejrzystość wód i ruch fal, które prznosił wiernie na płótno, oraz efekty księżycowe stawiają go w rzędzie najznakomitszych artystów oddających piękność królestwa Neptuna.

Londyn, d. 29 czerwca.

M. Wierzbński.



Listy z Niemiec.

II.

Berlin, 9. lipca.

(Prawodawstwo rolne, — Zwrot indemnizacyi. — Bimetalizm w Niemczech. — Sprawy ubezpieczeniowe. — Opieka nad robotnikami bez pracy. — Wolny wybór lekarzy. — Higiena ludowa.)

Ruch prawodawczy nie ustaje, jakkolwiek sesya parlamentarna zbliża się już ku końcowi. Od początku do końca bieżącej sesyi szczególną opieką otaczał rząd niemiecki rolników. Wobec spadku cen na zboże, obdłużenia, wobec ciągłych skarg i pretensyj junkrów opiekę tę łatwo wyłomaczyć, zwłaszcza, że dziś, jak i dawniej, najlepsze głowy wśród niemieckich mężów łączą interes państwa z interesem obywateli. Jak dawniej Bismarck, który i dziś w mowach swoich zaznacza większe znaczenie stanu rolników nad wszystkie inne, tak dzisiaj minister Miquel wysoce uzdolniony polityk i ekonomista, uważają stan ziemskich obywateli za najbardziej pomocy potrzebujący.

To też przed kilku dniami zaledwie ponowiono w sejmie pruskim obietnice reform prawodawczych dla rolnictwa, w zamian za odrzucony, jak się zdaje wniosek hr. Kanitza, a pierwszą z nich stanowi uchwalony podarek indemnizacyi za podatek gruntowy, który wyniesie około 10 milionów. Jestto nowa koncesya rządu dla obywateli ziemskich.

Indemnizacją otrzymali rolnicy przy uwłaszczaniu chłopów i zaprowadzeniu podatku gruntowego. Obecnie gdy podatek zniesiono, suma ta powinna była być zwróconą, przynajmniej taka uchwała zapadła w 1893 r, pomimo oporu agraryuszy. Ci przecież nie dali za wygraną. Stoi to w związku z wielkiem obdłużeniem własności ziemskiej. Najwięcej obdłużonemi są posiadłości na wschód od Elby, gdzie z przychodu idzie 44—65 proc. na procenta od sum pożyczonych hipotecznie (i tak n. p. w okręgu poczdamskim na zaspokojenie dłużników idzie 58^o/_o, w koślińskim 65). W prowincjach zachodnich, zwłaszcza w Saksonii ciężary są niższe, wynosząc średnio 14—30^o/_o wartości. Sumy indemnizacyjne największą też korzyść przyniosą rolnikom ze wschodnich prowincyj. Obliczono,

że z 16 milionów 10 przypada na 2000 właścicieli ziemskich, zamieszkałych na wschód od Elby. 19 posiadaczy z jednego tylko okręgu otrzyma 204 tysiące marek.

Przeciw darowiźnie oświadczyły się wyraźnie obie izby i rząd, a przecież przeprowadzono ją w trzecim czytaniu 154 głosami przeciw 127. Za wnioskiem byli konserwatywni i wolnokonserwatywni, obok niektórych posłów liberalnych. Polacy oświadczyli się przeciw wnioskowi. Owe 16 milionów opłacić tedy trzeba będzie przy pomocy innych podatków, padną one jako nowy ciężar na mniej zamożne klasy ludności.

Agrarczycy tryumfować powinni i prawdopodobnie tryumfują, w sejmie przecie dopominają się dalszej ulgi, a mianowicie zniesienia podatku stemplowego, jaki opłacają majoraty, przechodzące w nowe ręce. Jakkolwiek gospodarstwa majoratowe nie są lepiej prowadzone od innych, nie dają przeto krajowi gospodarstw wzorowych, przez takie powagi naukowe jak n. p. Wawrzyniec Stein, potępioną została ta forma władania ziemią, agrarczycy uderzają w nutę łaski monarszej, która jakoby przejawia się w majoratach, a powinna być kompletną.

Pismo, wydawane przez Związek rolników, „Tages Zeitung“, porusza, jak wiadomo nie pierwszy raz, myśl agrarnego kartelu, któryby już w każdym razie zapewniał agrarczykom zwycięstwo. Do kartelu należeć mają wszystkie te partye, które dopomogły przejściu ostatniej ustawy, a więc partye konserwatywne, częśc centrum i narodowo-liberalnych. Zadania kartelu mają być dwójakie: negatywne zmierzaliby do osłabiania szeregów partyj wolnomyślnych, oraz socyalnej demokracji, pozytywnych dziennik tymczasem nie zdradza, treść ich ma być gospodarczą.

Agrarczykom też i konserwatystom zawsze jeszcze zdaje się, że zbawienia rolnictwa szukać należy w bimetalizmie. Jakkolwiek Niemcy ze swego systemu monetarnego zadowoleni dziś być mogą, kwestya 400 milionów marek srebrnych, które jako talary znajdują się dziś w obiegu, spać im spokojnie nie daje, właściciele kopalni srebra w południowych Niemczech również niemało przyczyniają się do wzrostu niezadowolenia. Spotykamy się nawet z tak fantastycznymi projektami, jak propozycya Schermana, który chce, aby rząd niemiecki zakupywał corocznie ilość srebra równą tej, jaką zobowiązały się zakupywać Stany Zjednoczone A. P. przez bill Shermana.

Poza temi radami, podszytemi dość wyraźnie pośrednim lub bezpośrednio interesem osobistym, występuje przecież kwestya bimetalizmu w szacie naukowej, gdyż zwolennikami jej, n. b. w międzynarodowej szacie, są naukowe powagi takie, jak profesorowie Wagner i Seraing. Nie mówimy już o zapalonym sprzymierzeńcu

dwukruszcowego systemu, Dr. Ottonie Arendt, który całe życie propagandzie tej poświęcił. Wiosną bimetalisci postawili w parlamencie i w sejmie pruskim wniosek, aby rząd i kanclerz państwa zapoczątkował międzynarodowe porozumienie w sprawie waluty, w celu zaprowadzenia międzynarodowego bimetalizmu. Kanclerz zwrócił się do zjednoczonych rządów, od których dotąd odpowiedzi nie nadeszły.

Od odpowiedzi rządów zależeć będzie, czy cała akcja będzie miała jakiekolwiek znaczenie. Nie zapominajmy, że chodzi tu o międzynarodowy bimetalizm, a więc o zrównanie waluty we wszystkich państwach ucywilizowanych i używanie na cele monety dwóch kruszców, a więc o podniesienie ceny srebra. Obecnie zjechali do Berlina dwaj francuscy przedstawiciele dwukruszcowego systemu, którzy porozumiewali się już z bimetalistami w Anglii, a teraz wraz z prezydum związków niemieckich dwukruszców hr. Mirbach, z. Kordoff'em i Dr. Arendt radzą nad gospodarczymi stosunkami Europy i stawiają program akcji międzynarodowej w sprawie bimetalizmu.

Tyle dla rolników. — Nie zapominajmy przecież, że w Niemczech dziś przy każdej niemal nowej ustawie w najpoważniejszych organach pojawia się pytanie, co powie na to socjalna demokracja i czy nie powiększy to przypadkiem jej wpływu. Tymczasem dla robotników w bieżącej sesji nic się nie zrobiło, sprawy ubezpieczeń, zwłaszcza w razie nieudolności do pracy, dają nieustannie powody do skarg, robotnicy twierdzą, że różne sposoby istnieją, aby nie dać nigdy całej prawnie przypadającej im kwoty emerytalnej.

Wobec zmiany naczelnika w zakładzie ubezpieczeń na wypadek nieudolności do pracy i starości, którym został obecnie w Berlinie Dr. Freund, pojawia się sprawozdanie z działalności tej instytucji. W Berlinie ubezpieczonych jest 420.000 osób, które mają już w tej chwili prawo do 77 milionów marek, gdyż na taką sumę naklejono marek w ubezpieczeniowych książeczkach. Rent z powodu starości udzielono już 2853, nieudolnym do pracy 1974. Wydatek roczny instytucji wynosi 300.000 marek.

Jedyny projekt z zakresu polityki społecznej, projekt bardzo ważny, który wkraczał już w sferę opieki państwowej nad robotnikami pozbawionymi pracy, upadł w Sejmie pruskim. Chodziło mianowicie o urządzenie stacyj robotniczych, dla pozbawionych pracy. Projekt powstał jeszcze w kwietniu 1894 r. opracowany, nie został nawet odrazu przedłożony izbom, gdyż rząd uważał, że nie jest na czasie.

Stacye podobne istnieją w Prusach od 1877 r. Pod wpływem przesilenia gospodarczego, które tyłu robotników pozbawiło pracy, pojawiły się kolonie i przytułki robotnicze na wsiach, zapoczątkowane przez stowarzyszenie chrześcijańsko-społeczne. Na czele stał pastor Bodelschwingh, a celem było zapobiedz włóczęgostwu,

dając utrzymanie w zamian za obowiązkową pracę. Gminne i okręgowe zarządy dopomagać musiały prywatnej inicjatywie. Do 1890 r. stacje rozwijają się; liczono ich w Prusach 951, w Bawaryi 303. Okazało się, że napływali do nich prawdziwie potrzebujący, robotnicy pozbawieni pracy przez stosunki gospodarcze. Włóczęgów, którzy pracować nie chcieli, bardzo było mało. Pomimoto około 700 stacyj zamknięto, gdyż konta ich utrzymania okazały się nadto wysokie. Inicjatywa prywatna nie była dostateczną.

W projekcie obecnym nie chodziło o bezpośrednie upaństwowienie stacyj, lecz o przepisy państwowe, które zmuszałyby okręgi administracyjne do tworzenia związków, zawiadujących stacjami robotniczymi. Państwo wziąć na siebie miało jedną trzecią kosztów, co stanowiłoby koło 800.000 marek rocznie. Miquel zaprotestował przeciw takiemu ciężarowi dla skarbu, agrarzydzy go poparli, twierdząc, że na wschodzie stacje dopomagałyby tylko włóczęgostwu, robotników brak do pracy, nadmiaru sił niema. Wschód przeto ponosić by musiał ciężary dla zachodnich prowincyj. Poseł Gerlich upatrywał w projekcie do prawa zarodki komunizmu. Ustawa upadła, a nrządzenie stacyj pozostawiono pojedynczym prowincjom i okręgom.

Skoro już mowa o kwestyi robotniczej, wspomnijmy w paru słowach o postanowieniu, jakie zapadło na zjeździe niemieckich lekarzy w Eisenach. Zwykłą drogą zapewniania pomocy chorym robotnikom były aż dotąd umowy między kasą chorych, lub stowarzyszeniem robotniczym, a jednym lub paru lekarzami. Wytwarzały się z tego stosunki pewnej zależności robotników od lekarza, który nie zawsze pełnił sumiennie swoje obowiązki, albo też nie u wszystkich robotników miał zaufanie. Lepiej przeto robotnikom pozostawić wybór między lekarzami, a wynagrodzenie ostatnich uczynić zależnem od praktyki, jaką wyrobić sobie potrafią.

W tym celu Dr. Busch postawił wniosek, aby stowarzyszenia lekarzy zawierały umowy z kasami dla chorych. Umowa stanowi o wynagrodzeniu, przepisach dla zapobieżenia udanej choroby, przeciw marnowaniu lekarstw itp. Chory ma wybór pomiędzy lekarzami, którzy do kasy się zapisali, praktyka ostatnich zależy od ich staranności i wiedzy, lub przynajmniej od umiejętności obchodzenia się z chorem, którzy nie zawsze na wiedzy się poznają. Wniosek przyjęto prawie bez oporu.

Dla higieny ludowej czyni się coraz więcej. W tych dniach odbyło swoje doroczne posiedzenie Stowarzyszenie higieniczne, które ma zadanie zaopatrywać biednych piwem, koniakiem, morską solą, rozsyłać mydło, chleb, mięso, kakao itp. Sprawozdanie okazało, że stowarzyszenie rozszerza nieustannie swoją działalność.

Dr. Zofja D.